

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[33]



PRZEZ UTAH (str. 522).

BOLESŁAW ŚMIAŁY. OBRAZEK SCENICZNY.

(Scena przedstawia refektarz klasztoru; Benedyktyni wieczorują przy długim stole; lektor czyta głośno żywoty świętych; brat Stanisław usługuje; wnosi najprzód rybę w misie i podaje braciom; potem wchodzi i staje obok Opatu. Na skinienie Opatu lektor przestaje czytać).

OPAT *(do brata Stanisława)*.
Mów bracie!

BRAT STANISŁAW.
Pątnik z dalekiej krainy
U furty stoi i prosi gościny.

OPAT.
Idź, proś go.

(Brat Stanisław wychodzi i wraca po chwili wprowadzając pątnika).

PĄTNIK.
Pokój świętemu domowi!
(Benedyktyni powstają).

OPAT.
I tobie gościu! My służyć gotowi:
Spożywaj w zdrowiu, co widzisz, co stoi,
U ojca jesteś; współbracia my twoi.

PĄTNIK.
Jam Polak; idę piechotą do Rzymu,
Ślub pełniąc, czynion wśród boju i dymu.
(Pątnik siada na wskazanym mu przez Opatu miejscu, Benedyktyni siadają także i wieczorują dalej. Brat Stanisław wchodzi znów, wnosząc na ramiach w wiadrach wodę którą nalewa w dzbany i rozstawia na stole).

OPAT.
Tyś Polak gościu! więc z nieszczęść ogrójca.
Cóż słysząc? Gdzie jest Bolesław zabójca?
Ośm lat mija od srogięj przewiny,
Minęłyż skutki nieszczęsnęj godziny?

BRAT BERNARD *(z cicha do brata Stanisława, który mu wodę podaje)*.

Mój bracie, wodę rozlewasz, drży ręka!
Pracujesz nazbyt, post ciągły też nęka,
Przesada w dobrém, wszak grzechem być może!

BRAT ERNEST *(z cicha do Stanisława, patrząc z pod oka na Opatu)*.

Odpocznij! każdy ci w pracy pomoże.

OPAT *(do brata Stanisława)*.
Chcesz bracie?

BRAT STANISŁAW.
O nie!

OPAT.
Więc czyń, jako wola.
(Stanisław wychodzi w milczeniu).

OPAT *(do zakonników)*.

Kto brat ten? nie wiem; ni jaka go dola
Zagnała do nas; i nie mam mu prawa
Zabraniać pracy, co ducha napawa;
Od ośmiu lat on jednako nam służy:
Ni post, ni praca dowolna, nie nuży.

(do pątnika).

Przepraszam gościu, że sprawy domowe,
Na pierwszym słowie przerwały ci mowę.
(Brat Stanisław wnosi na plecach ogromne brzemię drzewa, składa je przy kominie i podsyca ogień).

PĄTNIK.
Pytałeś, Ojcze, o los mój ojczyzny;
Władysław królem; i goją się blizny;
Znikł winny, ale snadź palec to Boży
Dotyka jeszcze w odrośli go hożej:
Gdym idąc tutaj szedł Rusią Czerwoną,
Żalobę ciężką tam właśnie noszono,
Mieczysław, młodzian serdecznie kochany
Przez lud i szlachtę, rycerze i pany,
Przezacne książe, syn króla złej-doli,
Bez racy zmarł tam, ot tak, z dobrej woli.

(Brat Stanisław z wół głośnym jękiem osiada się i pada na podłogę przy kominie, rękoma przyciskając serce. Zakonnicy i gość biegną doń).

ZAKONNICZY.
On chory! Wody!
(Biegną cucić Stanisława).

BRAT BERNARD.
Spoczynku! i jadła!
PĄTNIK *(przypatrując się omdlonemu)*.
Jak gdyby znana mi twarz ta wybladła...
On kona!...

OPAT *(kłęka przy umierającym)*.
Jestżem ja winien, o Boże!
Nie broniąc brzemion noszonych w pokorze!

PĄTNIK *(padając na kolana)*.
O Boże! łuna zaślepia mię krwawa
Ja znałem króla! to twarz Bolesława!...

OPAT.
O Boże! czemu okupię mą winę,
Ostatnią jam mu przyspieszył godzinę!
BRAT STANISŁAW *(coraz słabszym głosem)*.
Nie Ojcze! Jam jest Bolesław morderca;
Nie z pracy konam, lecz z bólu, tu, z serca!
Nadzieję miałem, że Bóg mi przebaczy,
Że na tron wróci Mieczysław tułacz,
Mój syn!... on umarł!... ot pierścień królewski,
Daj Ojcze... daj zań!... daj cztery mi deski...

OPAT.
Przebacz! kiedyć dał żywot pokorny,
Bóg z tobą! królu! służalcze klasztoru! *)

*) Niektórzy historycy nasi z końca XVIII-go wieku

Rodzina roślin krzyżowych.

Rodzina ta jest bardzo łatwa do rozpoznania, mnóstwo ma cech odrębnych i wyraźnych, któremi się wyróżnia z pomiędzy innych roślin. Okazy krzyżowych znajdziemy też z największą łatwością i w ogrodzie, i na łąkach. Oto na przykład weźmy kwiat lewkonii, byle tylko nie pełny, który jest sztucznym wytworem sztuki ogrodniczej; obaczmy odrazu, że korona tego kwiatu ma cztery płatki o długich paznokciach, na krzyż ułożone, ztąd nazwa krzyżowych. Kielich składa się także z czterech działek, niezrośniętych wcale. Pręcików znajdziemy tu sześć, bardzo nierównych, dwa są krótsze, cztery znacznie dłuższe, botanik Linneusz nazwał te pręciki czterosiłnemi. Przy nasadzie ich można spostrzedz malutkie gruczołki zielone, są to miodniki. Słupek składa się z wydłużonego zawiązka i króciutkiej szyjki. Zawiązek ten po dojrzeniu przedstawia nasiennik odrębnej postaci. Z pozoru wygląda on jak strączek grochu, ale gdy się otworzy, obaczmy w tej długiej torebce, oprócz dwóch ścianek bocznych, trzecią przegródkę po środku, na nią osadzone są z obu stron nasionka. Taki nasiennik nazywa się łuszczyzną.

Niektóre rośliny krzyżowe mają nasienniki tej

i w połowie bieżącego stulecia, rzucili cień wątpliwości na podania, tysiące się ostatnich chwil króla-pokutnika. Świeższe poszukiwania dowodzą, że najpoważniejsi pisarze byli w błędzie, wysnuwając wątpliwość swoją ze starych stronicznych kronik, nie przekonawszy się o fałsie na miejscu i nie czerpiąc wiadomości, z innych wiarygodniejszych źródeł.

Dziś już nikt z bezstronnych, a sumiennych badaczy, nie może wątpić o pobycie Bolesława Śmiałego w Ossjachu, ani też o jego śmierci w istniejącym tam niegdyś klasztorze Benedyktynów.

Cudzoziemscy historycy tegocześni, w tej liczbie karyntyjcy, przyjęli to podanie jako fakt niezaprzeczalny, stwierdzając tradycyjnie z pokolenia w pokolenie przez ośm wieków.

Znalezioną w grobowcu w Ossjachu spinę od pielgrzymiego płaszcza, oddano niedawno do Krakowa. Szacowna relikwia po królu-pokutniku, wraz z autentycznym urzędowej komisji protokołem o znalezieniu jej przy otwarciu grobu, przechowywaną będzie odgąd w skarbcu katedralnym na Wawelu.

Obecnie grób Bolesława Śmiałego jest znów zniszczony i na odnowienie go przedsięwzięto zbieranie funduszków, prosząc rodaków, mających zamiar przyczynić się do składki, aby raczyli datki na ten cel ofiarowane, wysłać księdzu proboszczowi pod adresem: „Ossiach bei Villach (Kärnten), Herrn Pfarrer Andreas Krainz“. Ksiądz proboszcz przyrzekł iż łącznie z komitetem będzie zdawał publicznie sprawę z otrzymanych pieniędzy.

samą budowy, ale krótkie, w kształcie gruszek, lub zupełnie kuliste; wtedy nazywają się łuszczykami. Nakonec bywają długie, zwyczajne łuszczyzny, jakby poprzewijywane za każdym ziarnkiem. Takie nasienniki ma rzodkiew, która, jak łatwo poznać po jej kwiatach, należy do rodziny krzyżowych. Chrzan przedstawi wam znów łuszczyńki. Nasz chrzan krajowy znany jest powszechnie, ale może pomiędzy czytelnikami znajdują się tacy, którzy tylko korzeń jego na stole widują. Na wsi każda gospoia zna dobrze wielkie liście chrzanu i białe jego kwiateczki, mające wszystkie cechy krzyżowych. Na północy, w Szwecyi i Laponii, rośnie inny gatunek chrzanu, który jest lekarstwem od skorbutu. Rzodkiew w różnych odmianach w ogrodach warzywnych bywa hodowana. Z tych dwóch przykładów widzicie, czem się odznaczają rośliny, do tej rodziny należące. Wszystkie prawie posiadają pierwiastki ostre, mają smak szczypiący, dostarczają też wielu lekarstw i przypraw kuchennych.

W ogrodach warzywnych znajdziecie mnóstwo innych roślin krzyżowych, jakoto: kapustę i liczne jej odmiany hodowane pod nazwą kalafiorów, kalarepy, jarmużu. Brukiew, rzepa, są to także rośliny krzyżowe, opisywać ich jednak nie będziemy, bo je znajdziecie na wsi z łatwością. Do użytecznych roślin z tej rodziny zaliczymy jeszcze gorczycę białą, odznaczającą się kosmatą łuszczyzną, uwieńczoną dziobkiem płaskim i gorczycę czarną, która ma łuszczyzny gładkie bez dziobków. Obie wydają ziarna ostre i szczypiące, z których się robi musztarda. Różne gatunki rzepaków mają znów ziarna oleiste, dla nich też uprawiane bywają. Urzet farbiarski, po łacinie *isatis tinctoria*, rośnie najobficiej w południowej Europie, czasem na Podolu się przytrafia. Liście tej rośliny są błękitnawe, dostarczają pięknej błękitnej farby. Urzet ma kwiatki żółte, drobne, w wierzchołkowe gronka zebrane, łuszczyńki ciemne, podługowate, każda łuszczyńka zawiera jedno tylko ziarnko.

Wskażemy wam także niektóre rośliny krzyżowe, dziko rosnące wszędzie i łatwe do rozpoznania. Tasznik do najpospolitszych chwastów należy, kwiateczki ma białe, bardzo niepozorne, ale kwitnące przez całe lato, od Kwietnia aż do Listopada. Roślinkę tę poznać po łuszczyńkach płaskich, trójkątnych, w kształcie serduszka lub torebki; one to nadały ziółku nazwę łacińską *capsella bursa pastoris*. Nasienniki te napotkacie w każdej porze razem z kwiatakami.

Pyleniec, *bertorea incana*, chwast najpospolitszy, odznacza się szarawą barwą liści, porośłych drobnymi włoskami, kwiateczki ma białe, o płat-

kach rozdwójonych, łuszczynki szyjką uwieńczone. Rzodkiew łopuchą, *raphanus raphanistrum*, zwana także świrzepą albo ognikiem, wyrasta często na polach w takiej obfitości, że całe pola zabarwia siarczystym kolorem swych kwiatów. Łuszczyny jęj, zrazu walcowate i równe, później są przewiązane jakby z paciorków złożone i długim dziobkiem uwieńczone. Gorczyca polna, *sinapis arvensis*, ma kwiat bardzo podobny, często też bez różnicy nazywana jest ognikiem. Znawcę jednak od razu ją od łopuchy odróżni po działkach kielicha wąziutko rozciętych i rozłożonych, a nade wszystko po łuszczynach gładkich, nie przewiązanych.

Trudno byłoby wymieniać wszystkie zioła i chwasty, należące do rodziny krzyżowych, których niezliczone mnóstwo rośnie wszędzie w umiarkowanych strefach. Gdzie tylko napotkacie kwiat o czterech płatkach, na krzyż ułożonych, a w nim sześć pręcików *czterosilnych*, to jest cztery dłuższe, dwa znacznie krótsze, możecie go śmiało do krzyżowych zaliczyć.

Ozdobnych roślin w tej rodzinie znajdzie się niewiele, przyznać jednak trzeba, że nieliczne gatunki, po ogrodach hodowane, należą do najmilszych kwiatów. Już wspomnieliśmy wyżej lewkońnię, *Mathiola*, która bywa roczną i trwałą. Lak ogrodowy, *cheirantus*, zwykle brunatno-żółty, ma przyjemny zapach fiołków, ztąd nawet nazywają go niekiedy żółtym fiołkiem. Niemniej piękny jest wieczornik damski, *hesperis matronalis*, o kwiatach jaskrawych, różowych, purpurowych, fioletowych, białych, niekiedy upstrzonych i w nocy pięknie woniejących. Na Litwie roślina ta ma się znajdować w stanie dzikim. Na Podolu znów widziano wieczornik posępny, gatunek nieco odmienny, o kwiatach ciemnych, rdzawych lub brunatnych, także w nocy pachnących. Ubiorek baldaszkowaty, *iberis umbellata*, odznacza się kwiatem nieforemnym, ma bowiem dwa płatki korony znacznie większe.

Do rodziny krzyżowych należy także jedna z osobliwości świata roślinnego, sławna róża jerychońska, czyli zmartwychwstanka *anastatica hierochuntica*, która dotąd jeszcze, szczególnie w po-czyi, ma symboliczne, legendowe znaczenie. Rycerze, powracający z wojen krzyżowych, dziwne bajki opowiadali o tej roślinie, której ojczyzną jest Palestyna, Syrya i Egipt. Przypisywano dawniej różne cudowne własności róży jerychońskiej, która do róży najmniejszego niema podobieństwa. Jest to roślina niewielka, jednoroczna, o łodydze rozgałęzionej, kwiatach białych i łuszczynkach tej samej budowy, co u wszystkich krzyżowych. Podczas dojrzewania nasion liście opadają, a ga-

łązki mają taką własność szczególną, że w czasie posuchy kurczą się i ściągają; wtedy krzak cały przybiera postać wielkiej kuli splecionej. Wiatry z łatwością szczupłe korzonki wyrwają z piaszczystego gruntu i unoszą całe te krzaki, jak piłki, po rozległych stepach. Lecz niechże tylko deszcz spadnie i powietrze napoi się wilgocią, natychmiast zeschnięte gałązki rozprostowują się, korzeń wnet czepia się zwilżonej ziemi i cała roślina powraca do właściwej swjej postaci. Ztąd to urosło wyobrażenie, że roślina zupełnie zeschnięta odradza się, jak feniks starożytny. Jest wiele innych roślin, posiadających tę własność ściągania się i rozciągania pod wpływem suszy i wilgoci, lecz w mniejszym daleko stopniu, nie zwracają też na siebie uwagi.

Jak widzicie z tego pobieżnego przeglądu, w całej rodzinie krzyżowych nie znajdziemy ani jednej okazalszej, drzewiastej postaci, tylko same rośliny zielne, rosnące w strefach umiarkowanych, a najobficiej w Europie i Azji. Możecie je więc uważać za nasze, w całym znaczeniu tego wyrazu.

M. J. Z.

HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW.

przez M..a.

(Dalszy ciąg).

— Zdaje mi się panie ojczu, że nie tylko my teraz opóźniamy się czekając, ale że już od kilku dni opóźnialiśmy się, z doścignieniem upragnionego przecież celu naszej podróży.

Rycerz żywo zwrócił się do syna, widocznie ucieszony że ten przerywa milczenie i powiedział:

— Tak mój synu, czyniłem to z tychże względów na przystojność, z jakich się obecnie opóźniam. Dobrze że się o to pytasz, bo rycerzowi Hansowi panu na Richardsdorffie trzeba się obznajmiać z wieloma stosunkami i względami delikatnemi jakie, pomiędzy ludźmi zachodzą. Otóż widziałeś i słyszałeś że wypytując spotykanych krajowców o drogę do litewskiej stolicy, pytałem zarazem i o to, co się w stolicy tej dzieje. Takim sposobem dowiedziałem się, a raczej domyśliłem, że litewski książę na wyprawę jakąś miał temi czasy znów wyciągnąć, co często mu się zdarza jak widać, a dla tego ociągałem się z przybyciem ostatecznem naszym do stolicy, aby już w niej tego księcia nie zastać, gdyż nieobecność jego, wielce mi sprawienie mego posłannictwa ułatwi. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że W. Mistrz krzyżacki chytrze sobie ze mną postąpił,

wysyłając mię w delikatném i ważném poselstwie, a nie dając doń ani stosownego orszaku, ani łożąc odpowiednich kosztów. Poselstwo zaś same w tém jest delikatne, że ma za cel udarowanie małżonki Gedymina, w którym przyszłego W. księcia litewskiego można się spodziewać, a omija zupełnie tak samego panującego obecnie W. księcia, jak i żonę jego. Widziałem ja od razu i z góry wiele trudności mego zadania, już przedsiębrawszy je, acz nie wszystkie, bom stosunków tutejszych tak dobrze nie rozumiał jak rozumiem je teraz. Domyślam się też wielu rzeczy. Domyślam się że W. Mistrz naumyślnie tak pokierował sprawę, aby obcy rycerz nie zaś krzyżowiec prawdziwy poselstwo to trudne spełnił, by nań w razie potrzeby można wiele zmówić i złożyć. Kto wie nawet czyli nie ma ono na celu wywołania zawiści jakich pomiędzy księżnami, boć wiadomo ile zyskać może nieprzyjaciół zręcznie między stronnictwami kraju jakiego wicherzający, a wicherzenie takie najlepiej się udaje właśnie za pomocą błachych niewieścich niesnasek, które wpływ mają na najważniejsze sprawy państwowe. Otóż kto tam wie dla jakich swoich tajemnych widoków naraził mię W. Mistrz na tysiące tych dworskich, niby małych kłopotów i trudności, które trudniej jest pokonywać nieraz, niż lwy i smoki. Ale ja właśnie im więcej ich spotykam, tém mocniej postanawiam wyjść z nich zwycięsko, to jest tak, aby nikogo nie urazić, a W. Mistrzowi nawet wiedzieć nie dać iż się poznałem na tém, że on mię umyślnie na *sztých* w tém poselstwie wystawił, aby zyski zeń samemu osiągnąć, a niewłaściwości na mnie złożyć. Uczynię zaś to dla tego, że mnie znów nie o co, tylko właśnie i przede wszystkim o zadowolenie Zakonu w tej rzeczy całej idzie, który mocen jest w razie niezadowolenia odmówić mi tego najwyższego na świecie rycerskiego zaszczytu, do którego dążyć obecnie mam prawo. Swoją drogą, wyjście zwycięskie z licznych trudności na które jestem w sprawie tej narażony, wzmoże istotnie i prawdziwie to rycerskie prawo moje. Dla takichto głębokich i zawiłych przyczyn, opóźniałem się w dwóch ostatnich dniach naszej podróży. Obecnie zadanie moje ułatwione jest o tyle, że przez nieszczęśliwe zkąd inąd u Jadźwingów zmniejszenie i tak nędznego orszaku mego, jestem zmuszony dla interesu samej właśnie godności Zakonu, nadać poselstwu memu charakter zupełnie prywatnej i niby nic nie znaczącej przesyłki tylko, czyli małej przysługi od W. Mistrza dla księżnej Gedyminowej. A ta przysługa w nieobecności w stolicy panującego księcia i księżnej, będzie mogła przejść prawie niepostrzeżenie i bez urazy dla nich. Czy rozumiesz kombinacye te, synu mój?!... Ostatnie wy-

razy powiedział rycerz ze znaczącym naciskiem, i palec swój wskazujący prawicy ogromnej, wspierając znacząco na czole swoim, a Hansowi bacznie w oczy patrząc.

— Zdaje mi się że rozumiem panie ojcie — odpowiedział Hans, a rycerz zadowolony z jego uwagi, po chwili mówił dalej:

— Uniknąć urażenia panującego księcia, pragnę tém bardziej, iż jak ze wszystkiego teraz dopióro widzę, nie jest to wcale jakiś wpół dziki puszcz tutejszych wychowaniec, lecz owszem człowiek światowy i rycerski, a nawet pochodzący podobno nie z Litwinów wcale, lecz z rodu włoskiego, Cezarynów *Kolumna* z Eyragoły, nazwiskiem *Viten*, czyli *Vicien*, a po tutejszemu *Witenes*. — Domawiając słów ostatnich, rycerz von Richartsdorff dał znak do dalszego krótkiego już pochodu, co widząc i sam powstając z miejsca rzekł Hans:

— Acz z głębokich i ważnych względów życzyście sami panie ojcie, aby bytność nasza i sprawa nasza przeszła w stolicy tej litewskiej jak najbardziej niepostrzeżenie, to przecież, czyliż dla własnej waszej rycerskiej powagi, nie należałoby nam teraz wchodząc do miasta, wynająć wóz jaki pod tę pakę z instrumentem, zamiast nieść ją na ramionach jak dotąd?..

— A niechże Bóg broni! — z przestrachem krzyknął rycerz — przypomnij no sobie synu, na jakich to sztucznych pasach zawieszona była dla uniknienia trzęsienia tamta kolebka, w której poprzędno jechał instrument, dopóki ję Jadźwingowie nie roztrzaskali! Przebywszy szczęśliwie cały ocean kłopotów z tem lichem, nie narażę ja go teraz dla żadnych względów, na roztrzęsienie na łada wozie tutejszym. Raczej sam wezmę jeszcze raz ciężar na własne ramię, bo nikt mię tu niezna na szczęście i znać nie będzie, a W. Mistrz zna honor mój, którego nieskażoność obecnie na nieskażonej całości tej paki i jej zawartości polega! — I tak mówiąc skwapliwie, raz jeszcze poddał rycerz swe ramie pod ciężar dlań tak ważny...

Dochodząc już do przedmiejskiego domku, w którym jako w najbliższym Wolfgang prosił o gościnność, podróżni przykry mieli widok, przy kry nawet dla nich, jakkolwiek Niemcy i Krzyżacy nie odznaczali się sami wcale łagodnością obyczajów; starzec silny acz zgrzybiały, niewolnik widocznie, użyty jak zwierze pociągowe przechodził koło nich, wlokąc za sobą bardzo pierwotnej jeszcze budowy pług, odwrócony teraz ostrzem do góry, przy powrocie z roboty w małym sadzie przy domu... Szumny choć niezbyt głośny brzęk licznych jakichś dźwięcznych metalicznym dźwiękiem brzękadeł, ozwał się równocześnie a z poza kępy jaworów w głębi tegoż sadu i wybiegła nagle

skocznym biegiem spora dziewcząt gromadka; brząkaćka te uwieszone u ich pasów dźwięczały za najmniejszym ruchem, na to podobno wedle tradycyi, aby krewni w każdej chwili słyszeć mogli, że litewskie dziewczę rzeźko zajęte pracą lub zabawą z rówieśnicami, nie trawi nigdy na leniwem próżnowaniu, niepowrotnych chwil wiosnianej młodości. Długie białe suknie z bufiastemi rękawami, a na nich krótkie drugie kolorowe, najczęściej zielone, bez rękawów, sznurowane na piersi; srebrzyste przepaski nad czołem w kształcie koron ozdobione rutą; warkocze z pękami wstążek na plecy spuszczone i mnóstwo wieńców i pęków kwiatianych nieraz aż oburącz jak snopy niesionych, wszystkie te barwy wraz z brzękiem owych brząkaćdek przemknęły z błyskawiczną szybkością koło gromadki podróżnych, a dziewczęca chmara znikła w drzwiach domku do którego oni zmierzali. Dziewczęta widocznie wracały z łąk kwiecistych, z jakiejś walnej po kwiaty wyprawy; dziwnem tylko to się zdawało, że smutna jakaś pieśń dziewcząt mieszała się z wesołym dźwiękiem dzwoneczków.

— Poganki przekłete!.. — mruknął po polsku z rusińska sam do siebie starzec niewolnik ciągnący pług, a potem zaklął głośno po niemiecku; rycerz i jego towarzysze stanęli jak wryci usłyszawszy te słowa, bo jeżeli rycerz tylko niemiecką mowę rozumiał, to Hans i kilku innych rozumieli i polską i niemiecką.

— Jaktó! czyliżby ten dziki pogański okrutny lud, pobratymców naszych chrześcijan zamiast bydła używał! — wykrzyknął rycerz chrześcijański w rozpaczliwem zdumieniu i bezwiednie prawie za miecz swój olbrzymi pochwycił, gotów do obrony starości i słabości, jak mu to rycerska powinność nakazywała. Na dźwięk jego mowy, nawzajem żywo podniósł głowę siwą i na podróżnych spojrział starzec-niewolnik:

— Witajcie bracia! — zawołał ręce ku nim wyciągając i ścisnąć się zaczęli chrześcijanie na pogańskię spotkawszy się ziemi, a łzy gorące spływały po wojowniczych twarzach.

— Bracie! — drżący ze wzruszenia rzekł rycerz — czyliż podobna aby ludzie, choćby poganie nawet tak się obchodzili z ludźmi, jak ci nikczemnicy obchodzą się z tobą!

Ale niewolnik acz bardzo wzruszony spotkaniem z chrześcijanami, nie zdawał się przecież tak poruszonym swoim losem jak był nim rycerz; nawet poprzedni jego wykrzyknik i klątwa do przebiegających dziewcząt posłana, nacechowane były raczej jakimś zrzędzeniem właściwem starości, niż nienawiścią i gniewem. A nawet zdawało się Hansowi że kilka dziewcząt obejrzało się na star-

ca i jakimś serdecznym uśmiechem odpowiedziało na jego klątwy. I teraz na pełne oburzenia ze współczucia dlań wyrazi rycerza, uśmiechnął się stary niewolnik, zrzucił z ramion rodzaj uprząży którą dźwigał i pozostawiając pług tam gdzie stał, rzekł:

— Ej! co tam; ludzie gaduły potrafią i biesą obgadać: a przecież i on nie taki zły jak o nim mówią; zdarzy się różnie, to prawda, ale i to prawda, że ja swojego nie daruję, nie daruję! — krzyczał stary wygrażając pięścią ku drugiemu starcowi krajowcowi widocznie i gospodarzowi, który wyszedł właśnie z domu i gestami, oraz nie dla wszystkich zrozumiałemi słowy, przyjaźnie przecież i gościnnie zapraszał gości w głąb domu. Ale ku wygrażającemu mu rówieśnikowi, tak samo pięścią grożąc krzyknął:

— Nie łaj! bo będziesz orał!

— Jak będę musiał to będę! — odkrzyknął tamten — kiedy mię Bóg za winy snać moje niewolą pokarał, to nędza moja żem niewolnik, ale tobie powiadam że jesteś poganin!.. — i tak zaczawszy, niewolnik wygłosił cały szereg najróżnorodniejszych obelg, tak wprawnie, porządnie i bez zająknienia, że dowiódł tem najdoskonalej częstę praktyki w takiej rozmowie. Tymczasem podróżni wchodzili w sieni i we wskazaną im izbę, ostrożnie i powoli ze względu na niesiony ciężar. Przytem zaś ich wchodzeniu i lokowaniu się następem, przy klątwach i łajaniach niewolnika, ciągle i bezustannie brzmiał kędyś wpółgłosny, miły, lecz smutny i prawie jęklivy śpiew dziewczęcy, nie choralny jak wprzód, lecz pojedynczy i tak blizki, że Wolfgang, Hans i Fritz zupełnie go nawet rozumieli. Niewymownie smutny głos dziewczęcy śpiewał z prawdziwie łzawym oddźwiękiem:

Siostry moje rówieśnice

Schrońcie mnie!

Mnie tonącą w łez krynice

W dnie i w śnie!..

Bo nasyła na mnie Godu *)

Swatów moc,

Od wielkiego panów rodu

W dzień i w noc.

Śpiew ten brzmiał tak smutno, że wzruszony samym tylko dźwiękiem jego rycerz von Richartsdorff zadrżał i po raz drugi od chwil kilku chwycił mimowolnie za miecz, gotów do obrony i pomocy rycerskiej dla płci słabiej. Stary Litwin zapewne niezrozumiał tego ruchu, ale spostrzegł wrażenie i zajęcie jakie śpiew wzbudził w przyby-

*) Godu bóstwo weselne na Litwie.

szach, więc rzekł z uśmiechem, wskazując w głąb sieni:

— Wnuczka to moja za mąż wychodzi jutro, a teraz tam ot rówieśnikom śpiewa, oplakując swobodę dziewczęcą.

— To są ich obrzędy weselne.—objaśnił Wolfgang rycerzowi. Tymczasem niewolnik oddalwszy się na chwilę, wrócił teraz niosąc wielkie pęki słomy i jał ochoczo a gościnnie rozścielać je dla gości do spania w izbie, w której w najspokojniejszym kącie stała już przyniesiona paka. Dosłyszał on słów Litwina i rzekł zaraz po swojemu:

— Oj zaśpiewałbym ja wam i tój biesiej wnuczce waszój, oj zaśpiewałbym, a sprawił weselisko!.. — i łajać zaczynał gdy Litwin zniecierpliwiony krzyknął nań:

— Milcz niewolniku! daj spokój wnuczce mojej albo pójdiesz orać natychmiast!

— Co ty poganinie! będziesz krzyczeć na mnie? — zawoła niewolnik — Czekaj! kiedy tak, to pójdę natychmiast orać!.. Będę przy księżycowem świetle orać! — i to mówiąc wybiegł z izby i przed oknem począł zawzięcie wkładać na swe ramiona uprząż od stojącego tam pługa. A tymczasem gospodarz Litwin biegł za nim machając rękami i krzycząc rozpaczliwie:

— Ani mi się waź! nie ruszaj pługa! ach niegodziwiec! On gotów orać na prawdę podczas wesela mojej wnuczki! Taki stary! ludzie mię wyśmieją i bogowie się pogniwać mogą! — i biegł stary gospodarz za starym niewolnikiem który śmiejąc się skrycie a odgrażając głośno, uciekał ciągnąc pług za sobą; oba znikli za węglem domostwa. W tejże chwili przez otwarte dotąd drzwi, ujrzeni podróżni w głąbi sieni otwierające się drzwi inne, z których wyskoczył tłum dziewcząt, chwyciły one pośród siebie śpiewającą podesdrzwiami temi smutno narzeczoną i wiodły ją tam z kąd wyszły, śpiewając:

Pójdź! pójdź do nas rówieśnico

My obronim cię!

Zapłakane otrzęj lica

Nie lękaj się nie!

Życiem własnem obronimy

Kiedy przyjdzie swat!

Dziewcze w czepcu, kwiat wśród zimy,

Szkoda twoich lat!

Smutne te śpiewy ustały wkrótce, a natychmiast zawrzał taniec i ochocze przyśpiewki w owęj zamkniętej dziewczęcej izbie; przy tój wrzawie weselną posnęli strudzeni podróżni. Ale nazajutrz już z wschodem słońca zbudziły ich nowe gromadne dźwięki muzyki i śpiewów. Swatowie to pod drzwiami izby dziewczęcej śpiewali:

Stara Perkunate *)

Już swą córę — słońce

Umyła, że świeci jak złoto!

Wstań wdziej ślubną szatę,

My książęcia **) gońce,

Pójdź dziewczę! pójdź z nami z ochotą!

Prosił o cię bogów,

Ojcom drogo płaci

Za ciebie dziewczyno nasz książę!

Próżno jak od wrogów,

Od swatów ja braci

Kryjcie dziewczęta wy hoże!

Śpiew nagłe ustał i Niemcy u których inne były weselne zwyczaje, usłyszeli ze zdziwieniem wielki hałas, drzwi dziewczęcej komnaty gwałtem swatowie wyparli i mimo szczerze wstępu broniących dziewcząt, pochwycili pannę młodą pod ramiona i powiedli ją do poblizkiego domu księcia, to jest pana młodego. Zaraz też przybył konno pan-młody otoczony swemi krewnymi, wystrojony, z wiązką kwiatów u piersi, wszedł do domostwa i mówił do rodziców narzeczonej:

— Wziąłem sobie córkę waszą i zaślubię ją, mówcie ile chcecie abym wam za nią zapłacił, abyśmy żyli zgodnie jak na krewnych przystoi?

Ojciec i matka, ta ostatnia zwłaszcza z wielkiem narzekaniem, odmawiali długo, utyskując że w troskach około wychowania dziewczęcia nikt im nie pomagał, a gdy dziewczę odchowane mogłoby im się za trudy wywdzięczyc, to je ludzie starym rodzicom zabierają. Po narzekaniach i umowach zgodzono się przecież, rodzice przyjęli podarunki, a w zamian dali księciu to jest zięciowi pierścień, z którym ten wrócił do narzeczonej, znajdującej się w jego już domu i pomiędzy jego krewnymi. Drużki udały się za nim i przywiódł ją napowrót już z bukietem ślubnym, który ona przyjęła z rąk narzeczonego na widok pierścienia danego mu od rodziców, co oznaczało ich zezwolenie na ślub. Odbywały się potem różne dalsze obrzędy weselne, na które zaproszono przybyłych Niemców, jako gości weselnych, gdy oni zajęci tylko celem swego przybycia, woleliby byli zająć się przygotowaniami, do dopełnienia swego posłannictwa na dworze Gedyminowym. Zajmowali się więc niemi ile się dało, odcyszczając zbroje i broń, starając się o kupno koni i t. p. i spiesząc z tém wszystkiem, aby skończyć sprawę przed powrotem księcia Witenesa z wyprawy. Tymczasem na dziedzińcu małego obejścia, na dzieży nowęj dnem przewróconęj do

*) Perkunate matka Perkuna i matka słońca, co noc w łaźni myła słońce - córę swoją ażeby pięknie świeciło.

**) Pana młodego w dzień ślubu zwano: księciem, co dotąd ma miejsce w niektórych okolicach Litwy.

góry, družki sadzały pannę-młodą; śpiewając smutno rozplatały jej warkocze, umywały nóżki, wkładały piękne obuwie, zakrywały ją zasłoną, potem wiodły do krewnych po błogosławieństwo wraz z panem-młodym. Następnie zawiódłszy ją do śpiczrzów i stodołę pana-młodego, sypano jej tam na głowę różne rodzaje ziarna, a czynił to pierwszy ze swatów, tłómacząc przytém obowiązki dobrej gospodyni. Nareszcie w najwspanialszym orszaku na jaki stać było rodzinę, do którego dla wspaniałości już i goście niemieccy musieli należeć, udano się do pogańskiej świątyni, gdzie pogański kapłan, między innemi obrzędami podał nowożeńcom piękny jakby złocisty puhar nalany piwem, młodzi pili zeń, a potem nowożeniec rzuciwszy go o ziemię skruszył nogą. Kapłan coś przytém mówił zaklęcia jakieś i błogosławieństwa odprawiał. Następnie zapalono światła liczne i spora pogańskich kapłanów gromadka pieśń wesołą śpiewała, podczas której nowożeńcy obchodzili świątynię, różne czyniąc przed bóstwami ofiary, a pierwszy swat, a raczej swatów i jakby całego wesela przywódca, zwany starostą swadziebnym, rozdawał gościom białe jak śnieg, cienkie ręczniki, na pamiątkę. Stosy ogromne tych ręczników dźwigał i on sam i stary niewolnik który przez ciąg wszystkich uroczystości pomagając tu i owdzie klócił się przecież ciągle i łajał pogan, a zwłaszcza rówieśnika swego dziada panny młodej. Zaledwie uproszono go aby nie orał dnia owego, na wstyd gospodarzy i dowód ich surowości dla niewolników, a udało się uprosić go aż samęj pannie młodej dopiero, którą niewolnik widocznie lubił, ale krzyczał na nią tak jak na wszystkich i zwał ją wzgardliwie poganką. I we wszystkich też zrządzeniach jego, przebijała się pewna życzliwość dla ludzi z którymi żył od lat kilkunastu. To też i w chwili weselnego obrzędu, gdy starosta swadziebny biorąc jeden z ręczników z jego ramienia podawał go gościowi Hansowi, zręda niewolnik rzekł:

— Weź synu, a schowaj na pamiątkę, bo to ta marna poganka własnymi rękoma tknęła już od pół roku wszystkie te ręczniki dniem i nocą; nie ostatnia to byłaby dziewoja, aż żal że w pogaństwie wyrosła. — Stary nazywał Hansa synem i polubił go od pierwszego wejrzenia, a teraz tak mówiąc zbliżył się doń nagle i szybko dotknął ustami jego piersi... Zdziwiony Hans spojrział sam na własną pierś na to miejsce którego dotknęły usta starca i w które on patrzył teraz jak osłupiały, a łzy mu ze starych oczu ciekły i zrozumiał Hans że wzruszenia starca powodem, był krzyżyk spory bursztynowy, prawie mlecznej białości, który zawsze na piersi nosił, odkąd sam siebie pamiętał, a dopiero niedawno od matki się dowie-

dział że to ojciec jej, przy chrzcie św. sam go na szyję wnuka włożył. Teraz prawie biały ten krzyżyk przeglądał dość widocznie przez oczka siatkowej żelaznej koszulki, którą Hans miał na sobie, bo zawsze tak go nosił dla ochrony jego i bezpieczeństwa. Tyle spostrzegłszy, zrozumiał że przyczyną wzruszenia niewolnika był ten znak chrześcijański, dawno przezeń może nie oglądany, acz przecież i na płaszczu rycerza on błyszczał... Uroczystości ślubne i uczta weselna i obrzędy nie znane szły swoją koleją i zajęły młodego Hansa tak, że prędko zapomniał on o zrządzie niewolniku, choć żał go zdjął z razu na widok łez jego. Dopiero wieczorem gdy rozruch weselny przeminął trochę, przypomniał sobie wszystko, ujrzawszy niewolnika który widocznie go szukając przybiegł doń z otwartymi ramiony:

— Synu! zmiłuj się — wołał starzec — pokaż ty mi z bliska biały krzyżyk który masz na piersi pod żelazną siatką!

Hans zdjął krzyżyk i podał go staremu, a ten przyciskał go długo do ust płacząc zanim przemówić zdołał:

— W tém chyba coś jest! coś dziwnego! — zawołał nareszcie łkając tak że go ledwo zrozumieć było można. — Bursztyn takiej mlecznej białości, w tak sporym kawałku, nie łatwo się znachodzi; niepospolity jest ten krzyżyk, a ja właśnie taki sam na piersi synka młodszego mojego widywałem, któremu dziad macierzysty przy chrzcie św. na pamiątkę go włożył. — Mówiąc te słowa drżący niewolnik z pod oka spojrział na Hansa, nie śmiąc uwierzyć dziwnym jakimś przeczuciom, które nim szarpały, bojąc się aby nadzieja widokiem krzyżyka wzbudzona, nie okazała się zwodniczą... Hans blady, obezwładniały prawie ze wzruszenia, zaledwo zdołał wyjąkać płaczące mu się wyrazy:

— Gdzie... gdzie jest ten wasz synek, z tym krzyżykiem.

— Bóg wie co się z wszystkiemi stało! — odjęknął starzec wciąż oka nie spuszczaając z Hansa. — W dworcu naszym pod Lublinem gdy matka trzymała go w ramionach, a starszy Jan bawił się przy nich, ja padłem u ich stóp broniąc ich przed ciosem Litwina czy Jadźwiga... — Jeszcze nie domówił tych słów, gdy Hans leżał mu już u nóg całując je i wołając z płaczem:

— Ojciec mój! ojciec rodzony! tak, tak matka mówiła: pod Lublinem w dworcu, ojcu było imię Hans, a starszemu bratu Jan i ojcu matczynemu też Jan! A ojciec bronił drzwi komnaty i padł wraz u nóg matki...

Co następnie ojciec z synem mówili, tego powtórzyć niepodobna, bo oba razem pytali i odpowiadali wśród płaczu i uścisków. Długie minęły

godziny, nim niedowierzając jeszcze na wpół, szczęściu swemu, zaczęli nareszcie porządniej trochę opowiadać sobie dzieje wzajemne. Ojciec nie wiele miał do opowiadania. Okryty ranami i ogłuszony ciosami wzięty był w niewolę i gdy wrócił do przytomności skutkiem bólu samego, został popędzony do Litwy w najpierwszej małej gromadce więźniów, która przez Jadźwingów wojujących we wspólnie z Litwinem, pędzona bez miłosierdzia pospiesznie, nie została przez Czarnego Leszka odbita w owym pamiętnym jego pod Lublinem zwycięstwem, bo ją już Jadźwing pognał, nim Leszek cały tłum niewolnika odbił. W gromadce tej było kilku tylko ludzi, których Jadźwing zaraz na litewskiej granicy sprzedał chciwym na niewolnika Litwinom. Tak dostał się krzepki i dzielny wówczas ojciec Hans, do domu owego Litwina także krzepkiego jeszcze wówczas i niezłego wcale człowieka, u którego dotąd zostawał, łajac co się zmieściło poganom i dokuczając im różnymi sposobami, ale prawie z nimi poprzyjażniony i pogodzony z losem w przekonaniu że niema po co wracać do Polski, gdzie jak sądził nie znalazłby ani śladu swego rodu. Stary Hans czy to z natury, czy też na skutek długoletnich cierpień i tęsknoty w niewoli, miał obecnie tak już wyrobione obejście jakby ciągle i bezustannie był rozgniewany. Nawet teraz wśród tej pełnej wzruszeń i łez rozmowy z synem, rzekł mówiąc o swych panach:

— Psy to są! rozbójniki! — tu wygłosił zwykły swój długi szereg przezwisk i łajdań, dodając wkońcu: — Nie źli, wcale nie źli byliby z nich ludzie moje dziecko, gdyby nie to, że to są poganie, rozbójniki!.. — i znowu łajał z uniesieniem, ale porządkiem szeregując przezwiska i obelgi. Płakał łkając i ręce łamiąc, gdy mu syn opowiadał jak

znalazł przypadkiem i znowu utracił matkę i synowca i całą ich historię i brata Jana...

— A nuż my jeszcze matkę odnaleźć zdołamy, jeżeli z tej niewoli uda się nam ojca wybawić... Ot może my jeszcze i szczęścia zakosztujemy na ziemi! — mówił młody, a więc dostępniejszy dla nadziei Hans, gdy stary łkając, drżące ręce w niebo podnosił. Działo się zaś to wszystko w szopie



Przez Colorado (str. 522).

małej, gdzie Hans młody zajęty był odcyszczaniem zbroi rycerza, gdy stary ojciec do niego przybiegł. Księżyc w pełni przebiegł już większą połowę swego drogi w czasie rozmowy ojca z synem, gdy w rozwartych szopy wierzejach, ukazała się wysoka olbrzymia postać, z obnażonym mieczem w prawicy... Hans młody siedzący twarzą do drzwi, spostrzegł natychmiast ten cień ogromny zasłaniają-

Żebraczek nie mówił nic, ale jego oczy, na kartofle patrzące mówić musiały. Dwoje dzieci porozumiało się oczyma, pastuszek podał kartofel, żebraczek go połknął.

— A dajże mu więcej, nie widzisz to, że głodny, aż się trzęsie — rzekł najstarszy. Dzieciak podał znów kartofel Władysiowi a ten go połknął.

— Chodź, siądź bliżej i bierz z żaru świeże — zaprosił go starszy. Władys, nie wstając, przysunął się do pastuszków i chwycił pierwszy z brzegu kartofel, leżący w gorącym popiele, gdy na myśl nową zatrzęsła mu się ręka, aż z niej kartofelek wypadł:

— Ale ja nie mam czem zapłacić, miałem czterdzieści groszy w kieszonce, dziad zabrał je z palto-cikiem — rzekł Władys. Odsunął kartofel w popioł napowrót, a łaża mu po ubrukaniej już buzi do drżących ust się stoczyła.

— Oj pić pić... — szepnął mimowoli poczuwszy na ustach wilgoć własnej łzy.

Dwaj starsi chłopcy rozśmiali się jakoś smutno, spoglądając na jego łachmany.

— A któż ci każe płacić? — rzekł jeden — bierz i jedz. A Władys przysunął się do samego żaru i jadł. Tymczasem najstarszy chłopak wstał i poszedł w dół dolinką, a za chwilę małą wrócił, niosąc pełen swój kapelusz świeżej wody. Władys kartofle teraz z rąk wypuścił, a obie je do wody wyciągnął, pił, pił, przestając i pijąc znowu, aż wszystko wypił, nie pomyślawszy nawet, że z kapelusza pił wodę; on który niedawno myślał, że ze szklanki świezo nie wypłókaniej pić nie można. Wypił i podziękował pastuszkowi serdecznie, i znowu zabrał się do jedzenia; ale niosąc do ust pierwszy kąsek, zatrzymał rękę przy ustach i nieśmiało po pastuszkach popatrzył:

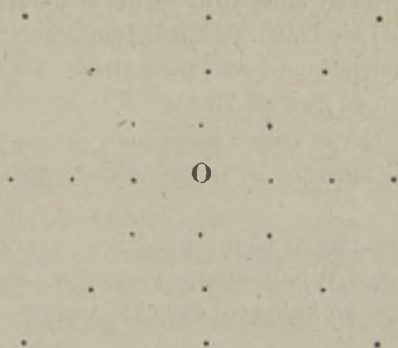
(D. c. n.).

Łamigłówka kryształowa (E. K.).

1. Litera.
2. Rzeka w Polsce.
3. Pokarm.
4. Przysłówek.
5.
6. Zbiór drobnych cząstek.
7. Rzeczownik wskazujący osobę.
8. Narzędzie zmysłu.
9. Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko magnata polskiego, który piękną po sobie pamięć zostawił.

Gwiazdka zoologiczna (A. D.).



Wynaleźć cztery nazwy zoologiczne: 1) Zwierzę drapieżne ze stref północnych. 2) Osobliwe zwierzę australskie. 3) Ptak drapieżny. 4) Ptak australski. Każde z siedmiu głosek, z głoską O po środku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go.

Łamigłówki w kwadraciku:

A	B	D	O	N
B	E	A	T	A
D	A	W	I	D
O	T	I	L	A
N	A	D	A	B

Łamigłówki głoskowej odwrotnej:

W ojn A
I dea Ł
S eto S
Ł ask I
A rgi W

Odpowiedzi od Redakcyi.

Karolci G. w Józkowym Rogu. Obiecana książka przysłana zostanie za powrotem pani Z. do Warszawy.

Anulce J. w Niszowcach. Radzi jesteśmy bardzo gdy czytelnicy nasi umieją się tak zastanawiać nad treścią artykułów umieszczanych w Wieczorach; starać się będziemy nadal zadawać im ich równie jak obecnie.

cy księżycowe światło i zadrżał... poznał on ten cień widziany już raz w strasznej choć krótkiej chwili, gdy wśród poufnej acz najniewinniejszej z Walterem rozmowy, ujrzał on i poczuł zarazem ostrze tego potężnego miecza na własnej czaszce... Czaszka młoda i zdrowa zagoiła się bardzo prędko, pod matczynymi lekami zwłaszcza, ale wrażenie pozostało... Hans młody, jak szalony zerwał się i stanął z rozpostartymi rękami pomiędzy dwoma ojcami swymi, rodzonym i przybranym, zasłaniając pierwszego przed drugim, sam bezbronny.

— Ty tutaj jesteś synu?— rzekł rycerz— Chwała Bogu! Ale cóż ty robisz w tej szopie? Przecież to już ranek niedaleko! Widząc więc że nie ma ciebie w pobliżu mnie na posłaniu, biegłem jak szalony po okolicy szukając cię. Bój się Boga synu! nie czyń ty mi zmartwień podobnych części! Bo widzisz, jesteśmy wśród nieprzyjaciół i pogan, którzy zamordować cię mogą! a ja, chrześcijański rycerz całe długie już życie poświęciwszy obronie niewinności i słabości, teraz gdy cię znalazłem, po raz pierwszy poczuwszy rozkosze rodzinne, radbym, ach Bóg widzi jak radbym już ich więcę nigdy nie stracić!.

Tak mówiąc, Konrad von Richartsdorff, wielki rycerz chrześcijański, wzruszony i drżący jakim go nigdy słońce i oczy ludzkie nie oglądały, chwycił w ramiona przybranego syna i przycisnął go do szerokiej swój piersi, jakby lękając się żeby mu go losy nie odebrały...

— Bo widzisz, — mówił znów po chwili — chociaż nadzieję mam w miłosierdziu boskiem że mi Bóg grzech przebaczył, kiedy mi raczył miecz mój powrócić, to przecież straszny ten grzech mój, grzech mężobójstwa ciągle mi ciąży na duszy i przed oczyma stoi; chwili nie mam teraz spokoju, zwłaszcza gdy ciebie nie widzę. Czasem z utrapienia tego już mi aż na myśl przychodzi, czyli to nie za karę a dla pokuty, zesłał Pan Bóg na mnie takie nieznane mi dotąd kochanie ku tobie, tobie którego zabić chciałem. Więc drzę teraz jak nędzny liść na jesiennym wietrze, ilekroć cię nie widzę, drzę ze strachu aby mi cię za karę i pokutę Bóg odebrać nie zechciał...

Gdy rycerz tak mówił ściskając syna przybranego, o którego wyląkł się jak widać okrutnie, blisko całą noc go napróżno szukając, stary Hans ojciec słysząc jego mowę, zrazu zdziwiony, potem zrozumiałwszy że mu, ktoś chce odbierać syna za ledwo co cudem boskim znalezione, zerwał się i biegł z wielkim gniewem do rycerza... więc Hans młody odwrócić się teraz musiał i bronić znów Richartsdorffa przed starym

Hansem, jak przed chwilą za ukazaniem się Richartsdorffa bronić chciał tego Hansa przed nim.

(D. c. n.).

CUDA SZTUKI INŻYNIERSKIEJ.

Patrząc na szeregi dymiących parą wagonów, które jak wąż żelazny wiją się w rozlicznych zakrętach, po niebotycznych wyżynach nad brzegiem przepaści, niepodobna nie podziwiać ogromu podobnego przedsięwzięcia i trudności w jego wykonaniu. Droga żelazna którą przedstawiają ryciny nasze, ciągnie się w Ameryce południowej przez Utah i przez Colorado, oraz przez nowy Meksyk aż do granicy Meksyku właściwego. Góry przez które idzie wznoszą się niekiedy do 10,000 stóp. To też budowę kolei w miejscach podobnych śmiało zaliczyć można do cudów inżynierskiej sztuki, które stały się dobrodziejstwem dla kraju, otwierając mu komunikacye, mające posłużyć do zużytkowania skarbów jakie posiada we wnętrzu ziemi. Okolice te bowiem słyną z bogatych mineralnych zasobów.

O WŁASNEJ SILE.

Powieść

przez M. Kr.

Właśnie śniło się Władysiowi, że galopował na prześlicznym kucyku, nie większym od Azora, który sypiał pod jego łóżeczkiem, gdy nagle stworzył oczy, bo ktoś pocałował go serdecznie; pokazało się że to ojciec schylony nad łóżeczkiem całował Władysia. Ojciec był ubrany jak do wyjścia na miasto, a w dodatku miał podróżną torebkę przewieszoną przez ramię.

— Bądź zdrow chłopcze, słuchaj matki i staraj się, żeby z twego powodu żadnego zmartwienia nie miała — mówił ojciec. Matka stała przy ojcu zapłakana. Władys zerwał się z łóżka, chwytając ojca obiema rękami ze wszystkich sił za szyję:

— Ojciec jedzie? gdzie ojciec jedzie? a ja? a mnie ojciec nie bierze? czemu nie bierze? Ojciec, ojczulku, ja cały tydzień już grzeczny byłem, niech mama powie! Ojczulku weź mię z sobą — wołał Władys uwieszony na szyi ojca.

— Nie można chłopcze! jadę za pilnymi interesami, nie miałbym ani czasu ani głowy o tobie myśleć; uściskaj mnie jeszcze raz i dosyć tego, — mówił ojciec, odejmując od swojej szyi ręce Władysia i odczepiając go od siebie. Chciał go

w łóeczku zostawić i odejść, gdy Władys z łóżka wyskoczył z krzykiem, rzewnem zalewając się łzami i za ojcem odchodzącym pogonił. Ojciec stanął, Władka schwycił, podniósł, na krześle przed sobą postawił i wstrząsając go za ręce, rzekł:

— Chłopcze! czym jesteś synem? mów!

— Ojca!... — odpowiedział Władys płacząc. A na to ojciec:

— Jeżeliś moim, to bądź rozsądnym człowiekiem i nie płacz daremnie rozumiesz?

— Ro...zumiem... — wyjąkał chłopiec, zaciśkając aż pięści z wielkiego wysiłku, aby szlochanie powstrzymać.

— To staraj się być matce pomocą a nie zmartwieniem — rzekł ojciec i postawił go na podłodze, pocałowawszy raz jeszcze. Władys jego rękę z całej siły do swych ust przycisnął, poczem prędko do matki się zwrócił. Ojciec wyszedł, służący wynieśli za nim mały kuferek. Powóz zaturkotał i ucichł w oddali.

W tejże chwili mała Ludka zapłakała w korytarzu; matka poszła do niej i sama ją ubierać zaczęła, gdy służąca ubierała Władysia. Była to szósta godzina rano. Gdy dzieci już były ubrane matka zmówiła z niemi pacierz i zasiadła do śniadania; sama jednakże napróżno próbowała pić herbatę. Władys domyślał się że musiała mieć inne jeszcze zmartwienie, oprócz wyjazdu ojca, bo ojcu zdarzało się już nieraz wyjeżdżać, a przecież matka tak bardzo zgryzioną nie bywała. Na płacz mu się zbierało ile razy na nią spojrzał, a jeśli nie płakał, to jedynie dla tego, że pamiętał ostatnie słowa ojca.

— Nie chcę mleka! ja chcę kawy... — wołała w tej chwili po dziecinnemu Ludka, odpychając się rękami i nogami od stołu wraz z wysokim krzesłem na którym siedziała. Matka schwyciła przewracające się w tył krzesło Ludki, a Władys uchwycił je z drugiej strony, i rzekł półgłosem do rozkapryszonego dziecka:

— Moja Ludko, jedz co ci dają i nie dręcz mamy, ma ona dosyć ciężkiego zmartwienia i bez naszych kaprysów.

I pomógł matce przysunąć wysokie krzesło z Ludką do stołu, a Ludce przysunął napowrót kubek z mlekiem, bułkę pokrajał w paski podłużne do maczania, jak ojciec codziennie robił i na spodeczku podał. Matka skinęła głową, wołając go tym ruchem do siebie, a gdy on stół obszedłszy z drugiej strony do niej się zbliżył, ona objęła go wpół, przycisnęła mocno do siebie i całując w głowę rozplakała się na dobre. Władys twarzyczkę do matczynej piersi przytuliwszy, pomimo całego panowania nad sobą, zapłakał;... ale tylko troszeczkę, natychmiast matkę uściskał, oczy obtarł

i usta zacisnąwszy, żeby łkania nie dopuścić, sam z własnej woli z rąk matczynych się wysunął, wrócił na swoje miejsce przy stole, siadł i zmusił się jeść spokojnie, chociaż mu się wcale jeść nie chciało ze zmartwienia; ale czynił on to wszystko dla tego aby matce odwagi dodawać.

Jakoż wistocie matka natychmiast oczy także obtarła i herbatę czystą pić zaczęła. Ludka tymczasem, która już była zapomniawsza o swoich kaprysach, otwierała szeroko niebieskie oczki, patrząc na nich całujących się i płaczących, a zobaczywszy ich łzy, zaczęła na nowo krzywić buzię do płaczu. Ale gdy matka i brat spokojnie jeść niby zaczęli, ona, zamała jeszcze aby ich mocowanie się ze zmartwieniem rozumieć, pocałowała matkę w rękę, która na poręczy bocznej jej krzesła leżała i spojrzała jej w oczy, jakby dopominając się, aby i ją uściskano tak jak Władzia. Więc Matka musiała ją ucałować i uśmiechnąć się nawet przytém.

I spokojnie już dalej szło śniadanie. Władek z pod oka spoglądał tylko na matkę, pewien, że ona tak samo jak on myśli o tém, gdzie też to już ojciec jest w tej chwili. unoszony szybko na kolei żelaznej. Ale w tém spostrzegł Władek służącą, zabierającą się do zmiatania, i zaraz sobie obowiązki swoje pomagania matce przypomniał:

— Franusiu! proszę nie otwierać okna! — szybko zawołał, a gdy Franusia zostawiła okno, do którego już się zabierała, on mówił dalej: — Idź proszę cię zamknąć najprzód okno w kuchni, jak ci to sam pan co dzień przypomina, a potem dopiero tu w pokoju okno otworzysz; inaczej, tak nas jak i ciebie może przeciąg powietrza zawiąć i Boże broń o chorobę przypawić.

Służąca usłuchała natychmiast, bo Władys mówił grzecznie i miał słusność. On tymczasem wstał, matce za śniadanie podziękował, i właśnie brał książkę do ręki, gdy weszła panna Józefa, która co dzień przychodziła do niego na dwie godziny lekcji, poczem wychodziła z nim jeszcze na dwie godziny do ogrodu na przechadzkę, na co matka nie zawsze czas mieć mogła. Dla tych to właśnie dwóch godzin na świeżem przepędzanych powietrzu, przychodziła głównie panna Józefa; była ona bardzo łagodna i sumienna, matka więc chętnie powierzała jej Władysia, którego służącej nie powierzyłaby ani na pół godziny. Władys miał już lat dziesięć i na przyszły rok miał być do szkół oddany.

Gdy panna Józefa weszła, Władek uklonił jej się grzecznie, pomógł zdjąć okrywkę, wziął od niej parasolkę, usługując jej tak, jak zazwyczaj dobrze wychowane dzieci starszym usługują. Nauka poszła nieźle. Po lekcji panna Józefa przeprosiła matkę Władka, że iść dzisiaj na przechadzkę nie

może aż nad wieczorem, na co chętnie przystano, skutkiem czego Władys wyszedł dnia tego dopiero o piątęj.

Cały dzień sprawował się on przykładnie, wyteżając całą uwagę, na dobre wypełnianie obowiązków swoich; ale w ogrodzie gdy muzyka zaczęła grać a mnóstwo ludzi gwarno i wesoło się uwijać, śmiejąc się i rozmawiając, poranne zmartwienie Władka jakoś troszeczkę się rozwiało, powaga opuściła go nieznacznie, a swawola, której i najlepsze dziecko sporą dozę mieć musi, wzięła górę niechęć. Władys odbiegł nieraz daleko od panny Józefy, która musiała wołać go i szukać.

Bardzo się nawet rozegrał Władys nie zważając że to szukanie i wołanie nie podoba się pannie Józefie, gdy w tém przypadła do nich zadyszana z pośpiechu Franusia.

— Pani prosi natychmiast do domu — zawołała z daleka jeszcze.

Panna Józefa wzięła Władka za rękę i pośpieszyli wszystko troje do domu.

Panią Falską, matkę Władysia, zastali już w podrózném ubraniu i Ludka do drogi była przygotowana. Straszny nieład, zwykły przy pośpiesznym wyjeździe, panował w całym mieszkaniu, zazwyczaj schludném i porządném; mały tłómaczek, z koniecznemi w drodze cieplejszemi okryciami, porzuconemi na nim, leżał na środku pokoju. Matka kładła do koszyka mleko w butelce dla Ludki, i rozmaite rzeczy do jedzenia.

Władysowi dość było spojrzeć na matkę, aby zrozumieć, że pytać o nic nie trzeba: była błąda, a pakując rzeczy, drżącemi rękami trzymała w nich przytém ciągle jakiś zmięty, wpół drukowany, wpół pisany papier. Gdy papier ten wypadł jęj z ręki na ziemię, Władys rzucił nań okiem podnosząc, i spostrzegł kilka tylko ołówkiem napisanych wyrazów:

„Przyjeżdżaj z dziećmi jestem chory”.

Tyle tylko napisano było na tym papierze, a pod tém podpisane ojca nazwisko.

Władys podał papier matce, a sam począł pomagać jęj ile mógł w przygotowaniach do wyjazdu, bo teraz rozumiał już wszystko. Widział on już dawniej papier taki, i wiedział że się nazywa *telegram*, wiedział też, że ojciec zaledwo przybywszy do ich małej wioseczki, zachorował i wzywa ich do siebie.

Dorożka sprowadzona przez Fransię zajechała w tęp chwili przed dom; Fransia wbiegła do pokoju, porwała na skinienie pani ów mały tłómaczek i zaniósła go do dorożki, wróciła znowu i trzy ciepłe paltociki razem ze sobą związane zaniósła także, potem wszyscy wyszli do kuchni, pani

zamknęła drzwi od pokoiów i oddała ten klucz Fransi. Dała jęj także kilka trzy rublowych papierków na życie, poleciła zważać na mieszkanie, pocałowała ją w głowę i śpieszno na schody wyszła, niosąc koszycek z jedzeniem dla dzieci. Za nią płacząc szła Fransia z Ludką na rękach, a za nimi szedł Władys wylękniiony niespodziewanemi tego dnia wypadkami. Wsiadli i pojechali, zostawiając płaczącą Fransię na progu domu.

Gdy przybyli na dworzec kolejowy, pociąg już tylko co miał odchodzić. Matka z Ludką na rękach, z Władysiem niosącym koszycek, trzymając go za rękę, zaledwo wydażyć mogła z kupném biletów i ważeniem tłómaczka, który niósł posługacz. Ludka już dawno doskonale chodzić umiała, ale w takim tłoku i pośpiechu, jaki bywa przy wsiadaniu na pociąg, łatwiej jeszcze było nieść ją, niż prowadzić, choć swoją drogą dziewczynka ciężka już była porządnie, zwłaszcza dla rąk nieprzywykłych do dźwigania. Jednakże matka, chwytając jedno dziecko, niosąc drugie i załatwiając formalności kolejowe, zdawała się nie czuć zmęczenia, ponieważ zmartwienie odbierało jęj połowę przytomności, a obawa spóźnienia drugie tyle sił dodawała chwilowo. Dopiero padłszy na siedzenie w wagonie obok dzieci i obok paltotów i koszyka, pani Falska zamknęła oczy, prawie bez tchu pozostając przez chwilę. Czerwone plamy ze zmęczenia jakich na dworcu dostała, zaczęły znikać powoli z jęj twarzy, aż została po nich owa bladość, której już raz się Władys przestraszył jeszcze w domu.

Pociąg pędził jak szalony; pani Falska spoglądała w okno co chwila, jakby dla niej jeszcze za wolno jechano. Przy wyjeździe zmierzchało się, teraz już noc ciemna zapadła.

— Mamo, pić — cicho powiedziała Ludka. Matka wzięła koszyk, nalała z butelki herbaty z mlekiem w kubek dla Ludki i sucharków jęj dała. Dała ich także Władysowi, któremu jeść i pić się chciało, chociaż za nic w świecie nie byłby się odezwał z tém, aby matce głowy nie kłopotać.

Dzieci zjadły; a wtém pociąg zatrzymał się; ludzie wchodzili i wychodzili z wagonu, ale nasi podróżni siedzieli ciągle, Ludka dawno spała na paltotach; Władys drzemał; było tak raz, drugi i trzeci, aż konduktor drzwiczki otworzył i jeszcze raz, jak za każdym przystankiem, nazwisko miejscy wypowiedział, matka wstała szybko, chwytając Ludkę na ręce, narzuciła na nią jęj paltocik, drugi na Władka, trzeci na siebie, dała na wpół rozbudzonemu Władkowi koszycek w rękę i co prędzej z dwójgiem rozespanych dzieci jęła po wysokich schodkach wydobywać się z wagonu po nocy.

— Do sali, do sali, tam gdzie się świeci! — wołała na Władka, gdy musiała puścić jego rękę, aby Ludkę obiema swojemi dźwignąć.

Weszli do sali na stacy, usiedli na ławce, ludzie, których tłum wszedł wraz z nimi, pokręcili się po sali, zjedli, wypili co im podano, pociąg gwizdnął, oni z sali wybiegli i pojechali. Oprócz miejscowych, pani Falska pozostała sama jedna ze śpiącemi znów dziećmi na ławce. Kazała podać herbaty, ale pić jęj nie mogła; siedziała więc tak dość długo nieruchoma, patrząc na dwie główki wsparte na jęj kolanach, gdy przeraźliwe gwizdanie rozległo się znowu, ciężkie, przerywane dyszenie dało się słyszeć, i zbliżało się szybko czerwone płomienne oko, niby czeluść piekielna, aż pociąg którym wypadało jęj teraz jechać stanął przed stacją.

Tłum ludzi wsypał się znowu do sali, chwytając z bufetu z pod kloszy przeróżne jedzenia i wracając zaraz do wagonów, bo przystanek tutaj był krótki. Pani Falska co prędzej zbudziła dzieci, ostatniemi siłami dźwigając znów śpiącą Ludkę, a Władka trzymając za rękę. Mnóstwo innych dzieci przeciskało się za swemi rodzicami tak samo jak i oni ku wagonom. Pani Falska musiała po kilka razy puścić na jedno mgnienie oka rękę Władka, aby Ludkę ująć lepiej, poczem chwytala Władka znowu i Władek sam się matki pilnował i konduktorzy przeciw pociągi obchodzą i porządku niby pilnują, a przecież, czy matka wśród ciemności inne dziecko za rękę chwyciła, czy Władek rozespany, zwyczajnie jak dziecko, sam się między ludzi w tłoku zaplątał, czy konduktorzy nie zważali na niego, czy małego chłopca wśród ciemnej nocy nie dojrzeli, tego wszystkiego niepodobna już odgadnąć, ale to pewna że Władka nagle wśród ciemnej nocy tłum z którym zbliżał się do wagonów, najprzód ścisnął, potem od tychże wagonów odrzucił, następnie w jednej chwili koło niego zrobiło się pusto, lokomotywa gwizdnęła i pociąg niby czarny wąż przemknął się koło niego.

Władys w pierwszej chwili tak dalece stracił przytomność, że począł biedz ze wszystkich sił za pociągiem, wołając:

— Mamo! Mamo!

Biegł dopóki mógł, dopóki mu sił i głosu starczyło; biegł na oślep w ciemną głęboką noc. Aż potknął się i padł. Pociąg uwożący panią Falską, musiał już być naówczas Bóg wie o ile mil, gdy Władek leżący na chłodnej ziemi o tyle z przerażenia i zmęczenia do siebie przyszedł, że zrozumiał, co się stało płakać zaczął. Spłakawszy się, przyszło mu na myśl, że matka, spostrzegłszy iż go w wagonie niema, zapewne najpierwszym pocią-

giem w tę stronę idącym wróci po niego tam, gdzie się z nim rozstała.

To pomyślawszy, wstał z ziemi, aby z ciemnej nocy napowrót do oświetlonej sali na stacy wrócić, ale obejrzawszy się na wszystkie strony, nigdzie najmniejszego światełka nie ujrzał: oświetlona sala znikła. Wtedy dopiero przypomniał sobie Władek, że od stacy za oddalającemi się wagonami długo biegł. Nie zdawało mu się przecież, aby to długo miało być tak długo, żeby aż stacy już widać nie było; zaczął więc biegać to w jedną stronę to w drugą, sądząc, że mu tylko inne budynki albo drzewa jakie, światło bijące z sali zasłaniają. Biegał tak znów długo, ale żadne światelko nie błysło. Tylko coraz grubsza ciemność, zwyczajnie jak przed świtem, zalegała świat; a chłód przejmujący zaczynał przenikać Władysia. Wtedy zbłąkane dziecko stanęło drżąc pośród czarnej nocy, stało chwilę bez myśli, jakby mu się i rozum obłąkał, aż osunęło się na kolana i zamykając oczy aby ciemności nie widzieć, a ręce podnosząc ku niebu, zawołało już bez płaczu, głosem przerażenia:

— „Boże zmiłuj się nademną”...

I Pan Bóg zmiłował się, płaczem i wysiłkiem zgębione dziecko — zasnęło.

Wielka jasność zbudziła Władysia; to słońce, wzniosłszy się wysoko, zaświeciło mu w oczy. Władys leżał tak długo jak go słońce zbudziło, leżał i myśli zbierał, bo mu się cały wczorajszy dzień jednym długim snem zdawał; oczy zmrużał i znowu otwierał, aż przypomniawszy sobie wszystko, zerwał się z ziemi. Ale ból zmusił go usiąść coprędzej. Bolały go ręce i nogi i głowa, zapewne z niezmiernego biegu i przełęknięcia, a przytém upadając po nocy, musiał się potłuc, nie wiedząc o tém; miał jedną nogę stłuczoną tak, że stąpić na nią trudno mu było i na ręce z tejże strony miał siniec i na czole poczuł guz, gdy dotknął go ręką.

Ale Władys mniej zważał na to wszystko w owęj chwili; on podnosząc się z trudnością, szukał tylko stacy w około. Nigdzie nie było ani śladu budynków. Wtedy siadł znowu na ziemi i z bólu, strachu i tęsknoty, znów płakać zaczął, drżąc jeszcze od chłodu porannego. Tak płakał, dopóki też mu starczyło i dopóki słońce nie rozgrzało go o tyle, że drżać przestał. Wraz z ciepłem i trochę ducha wstąpiło w niego; spojrział w niebo i przypomniał sobie, że to jest ranek, nowy dzień, a on jeszcze pacierza dnia tego nie mówił; ukląkł więc z trudnością na stłuczonych kolanach i zmówił modlitwę jak przywykł ją z matką odmawiać.

Po pacierzu musiał aż głowę obiema rękami ścisnąć, tak mu się z nięj nagle coś dziwnego stało

na myśl co się tam w tój chwili dzieje z matką i ojcem, którzy już zapewne są razem bez niego. Ojciec i tak chory, czy teraz nie zapadnie gorzej ze zmartwienia o Władka?... Ta myśl dodała chłopcu sił i po raz pierwszy natchnęła go odwagą, aby samemu o sobie pomyśleć, z miejsca się ruszyć i cokolwiek w celu odszukania rodziców spróbować.

— Przecież wiem że nie jestem na pustyni; a jak tylko ludzi spotkam i opowiem im kto i z kąd jestem, to mnie po numerze ulicy i nazwisku do rodziców doprowadzą, zwłaszcza że z pewnością dobrą za to dostanę nagrodę. Cała więc rzecz w tём, żeby tylko kogo z ludzi spotkać: trzeba tedy ludzi poszukać samemu, bo może oni tu do mnie nie przyjdą”, — tak sobie Władysław głośno powiedział, a powiedziawszy, wstał jeszcze raz powoli i zaczął znowu rozglądać się w około, myśląc w którąby stronę iść wypadało? Znajdował się on teraz na szerokiém polu zieloném, nędzną trawą porośłém, na którém były ślady dawnych żagónów, ale które tego roku nie było wcale orane.

Takie pole, odpoczywające po przeszłorocznym plonie, nazywa się ugór. Z dwóch stron tego ugoru chwiały się pod wiatrem wielkie bez końca łąny zielonych, niskich jeszcze trawek, gęstych jak szczotki. Władysław wiedział że tak wyglądają młode zboża, a zboża się nie depce, więc już w tamte dwie strony iść nie mógł. Tuż obok w nizinie błyszczało coś na słońcu; a Władysław przypatrując się, poznał że to była woda, jakieś błota, i trzęsawiska, jeziorka niby wyglądające z trawy; aż się zdumiał i w niebo spojrzał, dziękując Bogu i dziwiąc się zarazem, jakim cudem, biegnąc w nocy, nie utonął w owój wodzie?

Pozostawało zatem iść tylko w górę owym ugorem. Może też z tamtęj strony Władek przyszedł, kiedy nie utonął i po zbożu nie szedł? Może też w tamtęj stronie właśnie jest stacya, a na stacyi czeka już matka? Albo jeżeli matka musiała zostać przy chorym ojcu, może czeka kto od matki wysłany. Taką ożywioną nadzieją chłopczyzna zaczął iść powoli, lekko podnoszącą się równiną. Noga bolała go bardzo, pożałował teraz serdecznie swojej laseczki, którą w domu zostawił, a na którejby się lepiej było oprzeć. Ale przyszło mu znowu na myśl, że ładna cieniutka laseczka nie na wieleby się przydała i oglądał się za kawałkiem jakiego kija grubego, na którymby się naprawdę oprzeć można i nodze zbolałej ulżyć.

Kija na zawołanie nie było, szedł więc coraz wolniej, aż stąpiwszy jakoś gorzej, krzyknął i przysiadł z bólu na ziemi. Posiedziawszy trochę, gdy ból gwałtowny znów minął, spostrzegł Władysław jakieś krzaki w pobliżu, pomyślał, że możnaby kij

z nich uciąć i szybko do kieszonki paltota sięgnął... szczyrych był w kieszeni: Władek mało nie podskoczył z radości. Coprędzej poczołgał się do owych krzaków i po długiej pracy, nacinając ze wszystkich stron jedną dość grubą gałąź, potrafił ją w końcu przełamać i uciawszy znów z taką samą pracą wierchołek, zrobił z niej kij, który owinał chustką od nosa u góry, aby ręki nie kaleczyć, wziął w rękę, i opierając się na nim, łatwiej już wszedł na najwyższy punkt owego pola, którém iść mu wypadało. Smutek czekał go za tём wzgórzem, na które go wiodła nadzieja: stacyi ani żadnych budynków widać nie było.

Mały podróżny szedł prosto przed siebie, gdy nagle okrzyk radości wyrwał mu się z piersi na widok podnoszącego się z ziemi człowieka. Był to dziad z torbą, która widocznie dopiero co za poduszkę mu tutaj służyła; dziad brudny, obdarty, z kijem w ręce i plastrem na jedném oku, ale Władysław ręce do niego wyciągnął, jakby zbawienie zobaczył. Dziad wstawał z trawy, jakby z łóżka oczy przecierał, i torbę na plecy nakładał; a Władysław, przysiadłszy na ziemi, bo noga go coraz bardziej bolała, opowiadał mu, że się zabłąkał i że jeżeli go dziad do najbliższej stacyi kolei żelaznej doprowadzi, to dostanie z pewnością dużą od rodziców nagrodę. Dziad milczał, spoglądając na dziecko z pod oka, nareszcie po długim namyśle rzekł:

— Obiecanka cacanka, a głupiemu radość; daj mi ten paltocik, co go masz na sobie, to cię do stacyi zaprowadzę.

Władysław zdjął natychmiast paltocik i oddał dziadowi. Dziad zwinął go i głęboko do torby schował.

— Daj jeszcze buty — rzekł wtedy.

— A jakże będę szedł? — zapytał Władysław.

— A ja jak chodzę? — nawzajem zapytał go dziad, pokazując na swoje nogi pookręcane brudnymi kawałkami gałganów i skóry.

— Ale wy dostaniecie daleko więcej, niż te buty warte, a nie, to je wam oddam, jak tylko do stacyi dojdziemy — zapewniał Władek.

— Zdejmuji! — krótko mówił dziad, podnosząc kij do góry. Na ten groźny giest Władysław cofnął się całym ciałem w tył zdumiony, ale prędko zrozumiał, pod jaką się udał opiekę i w milczeniu zdjawszy buciki oddał je dziadowi.

— I te gałgany! ja ci za to dam płachtę porządną, w którą się cały owiniesz — rozkazywał dziad dalej, potrząsając zbłoconym trochę od wczoraj garniturkiem chłopczyka. I tak obdarłszy go ze wszystkiego, owinał go własnoręcznie podartym ogromnym łachmanem, który wprzód

troskliwie w kilkoro złożył tak sztucznie, żeby dziura na dziurę nie wypadła, co nie łatwem było zadaniem. Władys oddawał odzienie w milczeniu, dopiero gdy obrzydliwy łachman dotknął jego ciała, zalał się łzami. Dziad tymczasem okręcił go nim umiejętnie na wszystkie strony i z tyłu na plecach mu go związał mówiąc:

— Trzeba to zrobić porządnie, ażeby dzieciak w nocy nie zmarł, bo ja go nie chcę mieć na sumieniu.

Tak się z sumieniem urządziwszy, zarzucił na plecy torbę z Władysiem ubraniem i zaczął iść tak szybko, że kulejące dziecko nadążyć mu nie mogło.

— Zlitujcie się, nie idźcie tak prędko — wołał chłopczyną. Ale dziad w odpowiedzi jeszcze kroku przyspieszył.

— Na miłość Boską, pokażcie chociaż, w której stronie jest stacya... — z płaczem błagało dziecko ręce składając.

— Ach! żebyś tam plotek na mnie jakich nagadał... — mruknął dziad i poszedł tak prędko, że wkrótce znikł mu z oczu.

Władys usiadł na ziemi i płakał. Do wszystkich jego bólów i zmartwień przyłączyło się teraz jeszcze jakieś osłabienie, jakiego dotąd nigdy w życiu nie doznawał, bolało go w piersi; a usta musiał otwierać, ażeby powietrza zaczerpnąć. Od kilku chwil ciągle mu woda stała na myśli, ale tamta woda w jeziorkach na łące została daleko; oglądał się czy i tu wody gdzie niema, bo w gardle i w ustach pragnienie go paliło, gdy wtém, czy jego padły na skórę chleba, którą dziad z torby wytrząsnął, pakując jego odzienie: Władys rzucił się na chleb ten, aż z bólu jęknął, bo rzucając się do chleba, o stłuczonej nodze zapomniał. Już ugryzł tego chleba kawałek, gdy stanęła mu w oczach obrzydliwa torba dziadowska, w której suchy ten chleb oddawna z gałganami leżał i za poduszkę wraz z torbą dziadowi służył. Chleb wypadł Władysiowi z ręki.

Słońce już zachodziło; Władys wstał, opierając się na kiju, i zbierając wszystkie siły postanowił iść przed siebie w nadziei, że przecież może kogo z ludzi przed nocą napotka. Chciał iść, a wtém czy jego znów się mimowoli na ów kawałek chleba na trawie leżący zwróciły. Chciał iść, a oczu od chleba nie mógł oderwać; głód przyciągał go, wstępną odpychał, aż oczy zakrywając, gorzko płacząc, jak mógł najprędzej od owego chleba uciekł. Ale uciekając, przypomniał sobie, że nie trzeba darem Bożym gardzić i znowu po dziadowski chleb zawrócił. Niestety! stało się z chlebem to, co ze stacyą wprzód, nie można było od-

naleźć małej kromki na szerokim łąnie, i Władys napróżno dużo czasu straciwszy, poszedł znów przed siebie kulejąc.

A słońce chyliło się już ku ziemi. Władys szedł coraz wolniej, brakło mu sił, a z niemi i odwagi. Drugą noc przyjdzie mu zapewne przetrwać na polu. A tymczasem, co tam myślą rodzice? jak się ma ojciec? A nuż i matka zachoruje ze zmartwienia?... Władys musiał znów usiąść na ziemi, bo mu do reszty sił zabrakło, gdy o tém wszystkim pomyślał i znów jak wczoraj wieczór, tylko już nie klęcząc, bo klęknięby nie mógł, modlił się, twarz w dłoniach ukrywając.

Postanowił pozostać tak, jak był, bo nie czuł siły iść dalej, gdy nagle przeciągły ryk odbił się o jego uszy. Władys podniósł głowę. Gdzie jest bydło, tam są i ludzie; ale słońce zachodzi, może bydło i ludzie do domów już wracają, och! gdybyż ich można było dogonić... Chłopczyną zerwał się, odnajdując nagle siły i począł biedz, kulejąc i dysząc w stronę z której ryk go doszedł, och! gdybyż nie zapóźno, o czemuż tyle czasu na odpoczywaniu, i na płakaniu, i na szukaniu kromki chleba stracił... Ale ryk był coraz głośniejszy i częstszy, chłopczyną biegł tak, jak przed chwilą nigdyby nie zgadł, że biedz może.

Wtém nowe uczucie przyspieszyło jeszcze wzruszenie zgłodniałego dziecka: doleciała go woń pieczonych kartofli. Władys aż oparł się na chwilę o jakąś dziką gruszę, a potem jeszcze prędzej podążył ku małej za krzakami kotlinie, z której dym się obłoczkiem cienkim dobywał. Kilkadziesiąt sztuk bydła pasło się na obszernej łące, trzech pastuchów leżało za krzakami, dojadając pyszne pachnące kartofelki, rozrzucone ognisko dogasało. Jeden chłopak już spory, cały w bieli, przepasany krajką i w kapeluszu słomianym z piórkiem, leżał sobie jak długi z łokciami opartymi na ziemi, z brodą w obu dłoniach, nogami z lekka wybijając o ziemię takt do poświstywaną z niechcenia piosenki; widocznie najadł się już i odpoczywał. Drugi chłopak mniejszy, dwunastoletni może, miał na sobie długą koszulę, a na niej widocznie ojcowską kamizelę, głowę jasną jak len. Ten leżał twarzą zwróconą ku niebu, prawą ręką brał kartofle z popiołu i obawszy je zręcznie podrzucał w górę w ten sposób że spadały prosto w roztwarte jego usta. Trzeci chłopak, najwyżej ośmioletni, miał za cały strój koszulę, siedział przy ognisku, a raczej przy popiele, i wybierając kartofle zajadał je także w najlepsze. Najmłodszy spostrzegł najpierwszy małego w łachmanach kulejącego żebraczka, gdy ten zwalniając kroku w miarę zbliżania się, nareszcie stanął na kiju wsparty, a potem chwiejąc się, przysiadł.